Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 600 Mkp.

Rok I. Kraków - Warszawa 1923. Nr. 5.



STAŃCZYK

Humor i satyra.

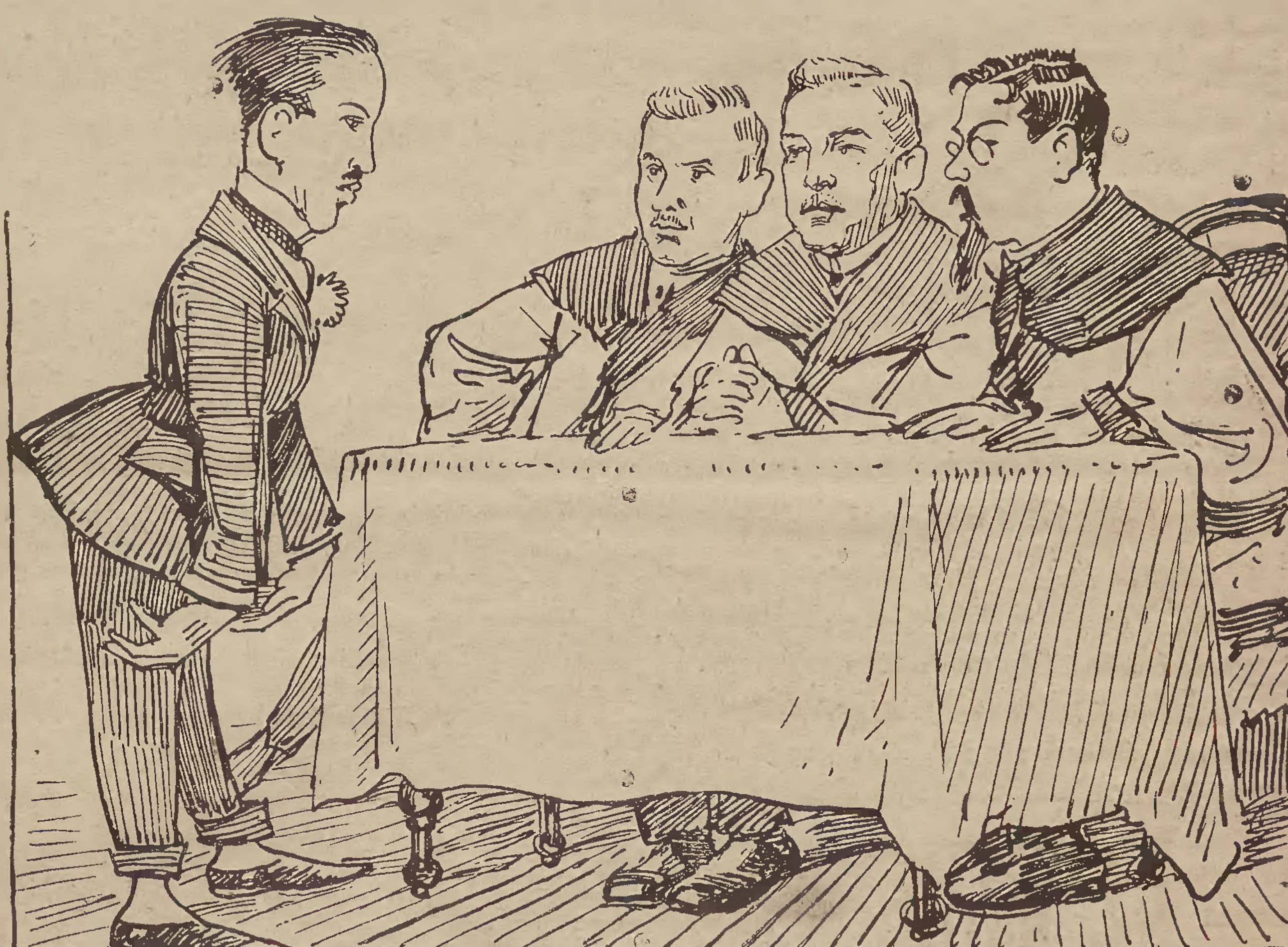
Adres wydawnictwa

Wład. Babuchowski, Kraków, Rynek gł. A. B. Nr. 39 III p.

Konto P. K. O. No. 151496 Konto P. K. O. 151496

Wychodzi 10, 20, i 30 każdego miesiąca.

Na egzaminie z geografji politycznej.



Egzaminator Skrzyński. A teraz niech pan nam powie coś o Kłajpedzie i Galicji Wschodniej...

Korfanty i Seyda. Tylko jasno, bez ozdób stylowych.

Skrzyński. Kłajpeda... Kłajpeda... jestto miasto sportowe... chciałem powiedzieć portowe. Zajął je Budrys, co to miał trzech synów, takich jak sam Litwinów... Jak go z tamtąd wypędzą to dobrze, a jak nie to nie... A co do Galicji Wschodniej, to przejeżdżałem teraz przez nią wracając z Rumunji ale nic na to powiedzieć nie mogę bo cały szereg zdarzeń może się kształtować i rozwijać w różnym kierunku, a my stoimy z zaciśniętemi zębami...

Od wydawnictwa.

P. T. Prenumeratorów upraszamy o odnowienie prenumeraty za luty.

P. T. Agencje zechcą wyrównać zaległości za czas ubiegły w dniach najbliższych z powodu olbrzymiego podniesienia kosztów druku i papieru podwyższa się obecnie cenę pojedynczego egzemplarza na 600 Mkp. zaś prenumeratę w Krakowie i na prowincji wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 1650 Mkp.

Zawiadamiamy, że udzielone upoważnienie do inkaso p. Józafowi Węgrzynowi zostało cofnięte, wszelkie zatem wpłacone mu odtad należytości na rachunek Wydawnictwa nie będą uznane.

Adres redakcji i administracji: Władysław Babuchowski Kraków, Rynek gł. A. B. Nr. 39 III. p.

Wicek Socjalik.



A no zanim ten psiokrew, lumer Stańczyka wylizie, bedzie naród obchodzący urodziny pana Kopernika. Nie wiem psiokrew dokumentnie czy to beł ten co psiokrew wynalozł Amerykę, czy ten co odkrył telifon, bo u Siapsi i tak i tak pedają, a szmaty grypsają ino: „nasz wielki Kopernik“, nic psiokrew nieobjaśniający bez co wielki. Ale mnie się widzi co on nie musiał być bardzo wielki, kiedy jego urodziny obchodzą ino we Warsiawie, a w Krakowie nie. Dlo Warsiawy to on ta może i jezd wielki, jako że we Warsiawie, jak grypsa Kuryjerek Dąbrowski, som same żgace i matołki, a uczonych na likarstwo nie najdzie — ale w Krakowie. gdzie psiokrew uczonków jezd całe zatrzęsinie, bele kto nikomu jemponuwać nie bedzie. Krakowskie uczonki som sie psiokrew szanujące

Ferdek o Koperniku tele wi psiokrew co jo, ale jeszcze i to, co bel na luniwersytet krakowski chodzący i bez to peda, co Kraków sie zbajał urodziu jego nie obchodzący. Ale to austryjackie gadanie. Na luniwersytet chodziło pewnikiem z jaki miljon chłopa (bo już 500 lat jezd stojący) to gdyby każdygo urodziny obchodzić. bełoby milijon obchodów. I jo tyż bel na luniwersytet psiokrew chodzący. Roz kiedy go budowoł pan Ksinżarski, bom bel wtedy murarzem i na sam dach belem chodzący, — a drugi roz tom poszedł na luniwersytet z Ignacym, kiedy to jakademiki jakomś rebelję (nie pamintam o co) beły robiące, a my z Ignacem wygarnęliśmy żelazną bramę i wtargnęliźmy psiokrew zwycinsko do środka luniwersytetu. Ignac mial psiokrew mowę, a ja morowo hańbowałem.

Ten Kopernik, któryго tero urodziny obchodzom we Warsiawie, musi być pewnikiem synem onygo Kopernika. któryго urodziny beł Kraków obchodzący przed laty pińćdziesińciu. Ale tamten beł psiokrew pewnikiem psiokrew winkszy. jako pomnę co cały Kraków bez dwa dni beł mu szanowanie składający. I jakademja i luniwersytet i rada mijska okrutnie psiokrew uroczystościowały — beły nabożyństwa, posiedzynia. trzymano mowy, bandy psiokrew grały, spiwano, beł tyjater, beła illuminacja. Naród mioł frajdą i kirzył okrutnie, w czem i jo bel udział biorący. Pan Kopernik przyknajał do Krakowa i pozuwał panu Matyjce do portrytu, a pan Gadomski kuł ci go w bronzie czy tyż odliwoł w marmorze. bo dobrze nie pamintam...

Tak ci szanowano psiokrew urodziny starygo Kopernika. a urodziny młodygo puścił Kraków kantem.

—o—

Z chwili.

Mylną okazała się wiadomość jakoby dr. Twardowski był kandydatem na ministra spraw wewnętrznych.

Gdzieżby!

Wszakże Twardowski to jeden z najzdolniejszych naszych polityków, a przytem czy jako wyższy urzędnik w Wiedniu, czy jako minister austrjacki, zawsze gorąco zajmował się sprawami polskiemi i był prawdziwym patrjotą.

Ba! Twardowski nie chciał nigdy słuchać p. Witosa i iść na rękę jego interesom.

Dla takich niema miejsca w odrodzonej Polsce.

W stanie zdrowia dra Seeligera, naczelnika monopolów państwowych, nastąpiło znaczne pogorszenie. Chory miewa co miesiąc napady gorączki, wśród których traci przytomność, bredzi o biljonach, tryljonach i wydaje dziwaczne rozporządzenia.

Tem, a niczem inoem, tłumaczy się nieustanne, szalone podwyższanie cen wyrobów tytoniowych.

Obecnie kilo tytoniu sułtańskiego kosztuje 100.000 marek, liche cygaro 500 marek, jeden papieros 80—100 m. a paczuszka zwiędłych liści z wiórami drzewnemi, czyli tak zwanym tytoniem fajkowym, 600 marek.

Taka paczuszka kosztowała dawniej 4 centy.

Są ludzie, których może stać na „sułtański", „Wawel" lub „egipskie", ale fajkę palą zazwyczaj biedacy.

I tym biedakom każe się za tytoń do fajki płacić 18 000 miesięcznie, bo paczuszka zaledwie na dzień wystarczy.

A cóż na to rząd ubolewający wciąż przed sejmem nad wzrostem drożyzny? Cóż na to urzędy do zwalczania lichwy? Co na to p. Hartleb nadzwyczajny komisarz rządowy, powołany do ucięcia łba drożyźnie.

Żal nam p. Seelingera! Taki jeszcze młody, tyle obiecujący, a tu straszna choroba obejmuje go swemi mackami, niszczącemi pędy zdrowego rozsądku.

Czyby nie wezwać psychiatrów? Może jeszcze nie zapóźno, może znaleźliby ratunek?

—o—

Chuchem mit Kałe.[1])

— Salcze! miłoszczy ty moja,
Przez czebie chodzę jak struty,
Bo patrzysz na mnie tak krzywo,
Jakby był spadek waluty.
Gdy chczałem wczoraj całowacz
Skryte pod bluzką dwa pączki.
Tyś gewałt wielki zrobiała
I w pisk dostałem z twej rączki.
— Moryc, ty nie wiesz jak sze ma
Obchodzicz z Kałe swą Chuchem,
Za każdą grzecznoszcz przed ślubem
Powinien płacicz rebuchem.
Za całus w buże „Żeglugę"
Daje, kto nie chce bicz szwinia,
Za „pączki" Nafta przypada
Za większe łaski „Trzebinia".
— O Salcze, każde twe słowo
Jakby funt szterling angielski...
Niech stracę — proszę o łaskę
Najwyższą — oto Cegielski.

[1]) narzeczony i narzeczona
[2]) dla zrozumienia tej miłosnej rozmowy, objaśniamy, że Żegluga ma kurs 1000 mkp. Nafta 8000, Trzebinia 25000 a Cegielski 125000

Na reducie.

Jarząco napełnione sale, nabrzmiałe upojnymi dźwiękami „salome" i schimmy, w takt których podrygują nabrzmiałe nieco Salomeje i Szymki.

Dokoła foki, kwoki, sroki, łoki, koki, breloki, brunetki, epruwetki, smokingi, smoczki, wymoczki, i polityczne skoczki.

Na skrzypicach chochoł gra.
Na basetli nędza łka!
Hu-ha!

— — — — — — — — — — —

— Wszystkie pary kon-tredansa!

— Pozwoli pani, panno Różo do tańca?

— Z przyjemnością, panie Jakób! tylko proszę założyć rękawiczki.

Zbyteczne! ja i tak zaraz po tańcu umyję sobie ręce.

— — — — — — — — — — —

— Figura pierwsza!... *passez!...*

— Moryc, słyszałeś? — krzyknął *passer!...* widocznie mnie poznał... chodźmy dalej!...

— — — — — — — — — — —

Jak się masz, śliczniutka Markizo?

— Skąd wiesz, żem *markiza?*

Bo bierzesz *marki za..*

Nie kończ...

— — — — — — — — — — —

— Ach! cóż za wspaniały, maseczko, masz dekolt!

— Prawda... do twarzy...,

— Nie!... do kolan...

— — — — — — — — — — —

— Panowie! *Walczuk* idzie... to jest... tego... walczyk idzie!

— Uwaga na platery!

— — — — — — — — — — —

— A to co za żebraczka pod nogami się plącze?... Kto ją tu wpuścił?

— Jestem polska marka...

— Niech Pan Bóg opatrzy!

— Ledwo na nogach stoję!...

— Nie zawracać głowy!... idź pani do Dja...

— Pss!... panie! tu damy są!... nie wymawiaj pan brzydkiego słowa przy kobietach!

— Ależ ja jej chciałem powiedzieć, żeby sobie poszła do Dja... manda!

— — — — — — — — — — —

— *Sir...*

— Myli się pan! nie jestem *ser*, tylko poseł...

— — — — — — — — — — —

— *English spocken?*.

— Englisch to jest z PPS... a ja z PSL.

— — — — — — — — — — —

W sali restauracyjnej.

— Panno Salciu! może mi pani poda swoje nóżki, to ja pani dam swój móżdżek.

— A jaki pan, panie Moryc, ma móżdżek?
— Cielęcy

— — — — — — — — — — —

— Aj, aj, przepraszam, że pani oblałem sosem dekolt.
— Nie, pan sze myli, pan mi nie oblał.
— To przepraszam za to, że się pomyliłem i nie oblałem.

— — — — — — — — — — —

— Co to? mostek?
— Aha!
— Taki mały?
— A cobyś pan chciał zaraz trzeci most na Wiśle.

— — — — — — — — — — —

— Aj, aj, panie Jakób, co pan robi?
— Ja chciałem pannę Różę pocałowacz.
— Ależ co znowu, przecie wszyscy patrzą.
— Zdaje się pani, nikt nie patrzy.
— A właśnie że się patrzy pan Izydor.
— No, jak tylko pan Izydor, to niech sze pani nie obawia, bo on niby patrzy na panią, ale widzi przed sobą śledzia na talerzu.
— Dlaczego?
— Bo jest zezowaty.

—o—

Z aforyzmów.

Jedni chcą etyki ogólnoludzkiej, a drudzy ogólnojudzkiej.

Żydzi są przeciwni, aby w Polsce wszystko za-goić — oni chcą wszystko za-żydzić.

Dawniej za monarchji w Polsce był „król z narodem", a teraz za Rzeczpospolitej jest Srul z Naprzodem.

Nieomylna prawda.

Jeden wałek a dwa wałki,
To są razem trzy kawałki!
Mojsie Icyk, dwóch Dawidów,
To jest razem czterech żydów.

Jantek z Bugaja

—o—

Jeszcze dziesięć marek!

Jakiś pan wpada do apteki:

— Na miłość Boga, panie aptekarzu, pan mi dał strychninę, zamiast chininy!

Aptekarz: Do licha, zatem należy mi się od pana jeszcze pięćset marek.

—oOo—

Głosy publiczne.

Kochany Stańczyku!

Pozwól, że za twojem pośrednictwem poruszę dwie sprawy niby prywatne, a jednak mające charakter publiczny.

Pierwsza jest taka:

Pewien inspektor szkolny został przed dwoma laty zasuspendowany. Z jakich powodów, słusznie czy niesłusznie, w to nie wchodzę. Dość że od dwóch lat nic nie robi, a pensję pobiera. Albo winien, niech go więc minister oddali, — albo nie winien, niech więc chleba za darmo nie zjada. Tyle rząd wciąż prawi o oszczędnościach, a sam wyrzuca pieniądze za okno.

Sprawa druga:

Przed paru miesiącami ministerstwo pracy i opieki społecznej ogłosiło konkurs na trzy posady jakichś referentów. Jeden z moich znajomych, wysłał podanie z załącznikami. W tych dniach otrzymał odpowiedź, że podanie jego nie może być uwzględnione, ponieważ „niema wakansu".

Co to jest? Konkurs ogłoszony na trzy posady — a zgłaszającemu odpowiada się: niema wakansu.

Mnie się zdaje, że nie było... konkursu. Ogłoszono go dla formy, a posady z góry były przeznaczone dla protegowanych. Inaczej sobie tego wytłumaczyć nie można.

Możeby ministerstwo oświaty, do której należy i etyka, zwróciło uwagę ministerstwu pracy, że nie należy ludzi w błąd wprowadzać, narażać ich na pisanie podań, zbieranie papierów, stratę czasu i koszta przesyłki — a nawzajem możeby ministerstwo pracy zwróciło uwagę ministerstwu oświaty, że urzędnik powinien pobierać pensję za to, że pracuje, a nie za to, że jest suspendowany.

Tak mi się przynajmniej „widzi".

C. hr. Zan.

—o—

Przekupka i kmiotkowa.

Gdy z koszykiem jaj siedziała
Agata przekupka stara,
Koło niej też sprzedawała
Jaja kmiotkowa Barbara.
Barbara jaja ceniła
Na dwieście i trzysta marek —
Agata zaś tańszą była, —
Żądała sto od kucharek.
Stojkowy, który to zobaczył —
Bo ustawy studyował, —
Do Agaty zaraz skoczył,
Za lichwę ją aresztował.
Bo tak każe mu ustawa —
Bo na lichwy szła bezdroże —
Bo tylko kmiotkowej prawa
Zezwalają brać co może.
Agata aresztowana.
Ogromnie się zadziwiła,
Że ustawa stosowana
Sprzecznie co do osób była.
Klucznik, człowiek uczuciowy
Gdy Agata wciąż płakała

Pocieszał ją tymi słowy
Ażeby nie rozpaczała:
— Bo to widzi pani droga,
Tak ustawa nakazuje —
Kto niekontent ten do Boga
Niech się żali, rekuruje —
Bo niema sprawiedliwości
Na tej ziemskiej wielkiej glebie —
Sprawiedliwość tylko gości
Za chmurami w górze, w niebie!
Tam za kmiotków brzydkie czyny,
Bo ich tu nie można prażyć,
Za lichwia skie brzydkie winy
Każą djabłom w piekle smażyć. —

——o——

List Kacpra Krupy

współpracownika „Stańczyka" z Lozanny.

Wielebna Redakcjo!

Lozanna, w lutym 1923.

Zdawało się, że w Lozannie wszystko w porządku, że mogę wyjechać, bo ugoda przyjdzie do skutku. Tymczasem Turcy do ugody przystąpić nie chcą — tak jak Grecy się zbroją, w porcie smyrneńskim awantury z okrętami, Anglicy przysyłają wojenne okręta i zdaje się, że Turcy i Grecy znów za łby się pochwycą, a gdy do tego inne mocarstwa się wmieszają, będziemy mieć znów straszną wojnę europejską, a może nawet i światową. Wszystkiemu winien jest Izet basza, który pod żadnym warunkiem do ugody przystąpić nie chce. Wobec tego udałem się do niego i starałem się go nakłonić, by zaprzestał oponować i zgodził się na to, co delegaci mocarstw uchwalili. Izet basza, oznajmił mi, że swego stanowiska w tej sprawie zmienić nie może, bo gdyby się zgodził na warunki podane przez delegatów mocarstw europejskich, Turcja musiałaby zbankrutować, bo jej finanse znajdują się w opłakanym stanie.

Ja zwróciłem na to uwagę Jzeta baszy, że i my jesteśmy co do finansów w bardzo przykrem położeniu, ale zarządzenia naszego ministra finansów bezwątpienia do uregulowania naszych spraw finansowych się przyczynią. Oznajmiłem mu, że u nas ceny wszystkiego zostaną podwyższone, a mianowicie cena tytoniu, cygar, papierosów, poczty, kolei, telegrafów i t. d. ale co najważniejsze pietnaście a nawet dwadzieścia pięć procent urzędników zostanie oddalonych, co przyniesie kolosalne dochody i wkrótce deficytu nie będzie. To słysząc Izat basza, z radości podskoczył i powiedział: Na Mahometa! że też ja na taki pomysł nie wpadłem. Nie o pietnaście albo dwadzieścia pięć procent, ale o dziewięćdziesiąt procent zredukuję liczbę urzędników. W ministerstwach nawet o dziewięćdziesiąt dziewięć. Krupo, dzięki tobie Turcja będzie uratowaną, ja propozycje pokojowe podpiszę i do wojny nie przyjdzie. Izut basza, natychmiast wydał polecenie do zredukowania sił urzędniczych i jest uzasadniona nadzieja, że dzięki naszemu ministrowi finansów i dzięki mnie Europa nie będzie znów terenem strasznej wojny.

Sługa.
Kacper Krupa.
Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej
Nr. 19780.

——o——

Po Karnawale.

Odkąd zniknąłeś jak sen jaki złoty,
Rozpustny, iście polski karnawale,
Odkąd umilkły bostony, foxstrotty,
Z afisza zczezły reduty i bale,
Któż nie usycha z żalu i tęsknoty
Z tych, co cię czcili jak zapamiętale,
Gdy im w takt wspomnień nogi jeszcze skaczą,
Za tobą tęskniąc może i zapłaczą!...

Ach ten karnawał, psot nawał, win nawał
Dobiegł nareszcie, nareszcie do końca..
Jestże kto taki, co się nie napawał
Jego urokiem! niby blaskiem słońca?...
Będzie to sobie pytanie zadawał
Niejeden jego z uporem obrońca;
Nie myśląc wszczynać dysputy zawzietej
Zapuszczę sondę, w zapustne odmęty.

O Matko Polko! Pomnisz Wieszcza słowa,
Gdy Cię strofował za Twojego syna?...
Dzisiaj Twe serce dumę w sobie chowa,
Gdy Ci Twój synek, powróciwszy z kina,
Choć w szkole z niego tam nie bardzo głowa,
Bandycki dramat streszczać, w mig zaczyna,
Lub Twa córeczka, nad swój wiek morowa
Chociaż tam jeszcze majteczki swe złoci,
Już się tak bosko z chłopcami foxtroci...

Ha, widać, że to już taki duch czasu!
Za sto dni smutku, jeden dzień wesela...
Ten chyba, który nie łaknie Parnasu,
Karnawałowych uciech nie podziela;
I nie ma o co znów robić hałasu,
Taniec tak słodko duszę rozaniela...
Więc cóż to szkodzi, gdy w on-czy twostеppie
Panienka z chłopcem trochę się wyhepie!...

Jakżeż nie tańczyć, skoro wszyscy tańczą,
Każdego wieku, stanu, rang, postaci,
Z werwą szaloną, mało, obłąkańczą,
Pseudo-, artysto-, pluto-, biuro-kracji...
Niańki w takt tanga niemowlęta niańczą...
Co, bieda, panie? Niech ją porwią kaci!
Dziad pod kościołem, wyiskawszy kimy,
Wybija taniec Wita alias shimmy...

Raz! Raz dokoła! Jeszcze raz dokoła!
Epikureje! Sobkowie! Flistry

En avant! Z życiem! Mus, mus. mus, mus woła!
Tępo pojmujesz czy rozum masz bystry.
W tan się puszczają dziś nawet ministry.
I dyplomaci, i dyplomatołki!...
Aranżer wprzęga, jak chłop w pług swe wołki...

A wciąż na ustach waszych jest Ojczyzna...
Co, marka nasza? Psa ona dziś warta!
Ale na ustach wam stale drożyzna...
Odmawiać sobie rozkoszy? Po czarta!
Któż w sobie którejś z win swoich nie wyzna?
Popielec... oto świątynia otwarta...
Popiołem w skrusze środy popielcowej
Posypcie... głowy - jeśli macie głowy.

Oktawian.

---o---

Paskarz i Bandyta.

(Wcale nie bajka.)

Wędrując raz przez miasto w ciemności spowite.
Paskarz napotkał Bandytę.
Nie zląkł się ani na chwilę,
Grzeczny, uśmiechnął się mile
I dłoń wyciągnął do niego,
Mówiąc: „Jak się masz kolego?"
Bandyta rękę cofnął, wzrok zrobił surowy,
Okiem przeszył Paskarza od stopy do głowy
I rzekł: Paskarzu, jesteś nazbyt śmiałym zuchem,
Za pan-brat świnia z pastuchem!
Skąd to ci przyszło do tego,
By mnie nazywać kolegą?
— Jakto? — rzekł Paskarz. —
To mi się podoba!
Wszak żyjem z rabunków oba,
Jednaka przeto praca z fachów naszych strawa.
Zwać cię kolegą słuszne nadaje mi prawa."
Bandyta odparł, z kabzy dobywszy spluwaka
— Jednaka, mówisz, praca?
Zgoła niejednaka!
Bo ja gdy wpadam gdzie skrycie,
Narażam wolność i życie.
Wśród niebezpieczeństw bez liku
Odwagę muszę mieć, męstwo.
A kończę życia męczeństwo
W więzieniu, albo na stryku, —
Gdy ty w paskarskim swym fachu
Odzierasz codzień ludzi bezpiecznie bez strachu
I we wściekliźnie cen zwyżki
Wyprówasz żyły z ciała im i z brzucha kiszki.
Wszystko zaś robisz bezkarnie.
Niech cię flanela ogarnie!
Wynoś się! Lecz mi pierwej oddaj trzos obfity,
A drugi raz kolegą nie śmiej zwać bandyty,
Bo ci powiadam niekłamnie,
Że to dyshonor jest dla mnie,
Albowiem dziś ogólna opinia jest taka,
Że niema od paskarza gorszego bydlaka!
Więc......„ Tu się do paskarza Bandyta przysunął
I prosto w gębę mu plunął.

---oOo---

Z tygodnia.

I. Ona jest inna...

Na reducie prasy poznałem pewną czarną maskę. Maska ta potem została zdjęta i wyjrzała z pod niej buzia młodziutka o ślicznych długorzęsych oczętach, pociągłym nieco nosku i aksamitnej cerze.

Buzia przyznała się, że jest mężatką (mąż był również na reducie) i już nad ranem podczas jakiegoś marzącego walca wyznała mi cicho i skromnie:

— Wie pan... ja nie jestem szczęśliwa... jestem inna niż wszystkie kobiety — czegoś mi w życiu brakuje. Nikomu się z tym nie zwierzam, bo i pocóż? Ale tak jest. Chciałabym panu tyle powiedzieć... Jutro o 6-ej męża nie będzie, niech pan przyjdzie do nas o tej porze...

Reduta wkrótce się skończyła, państwo X pojechali do domu, a ja długo jeszcze byłem na pół przytomny i czekałem... jutra, godziny 6-ej.

O piątej byłem już na stanowisku przed domem państwa X... Nie chcąc przyjść za wcześnie, długo krążyłem w okolicach tej bramy, która miała być dla mnie wrotami do raju, aż nagle...

Było to przed 6-tą. Ujrzałem przed sobą dobrze znaną kibić przytuloną do eleganckiego rotmistrzowskiego szynela. Oboje szli w tym co i ja kierunku.

Zadrżałem, przyspieszyłem kroku, aż wreszcie dosłyszałem jak znany mi głosik szeptał:

— ... nie jestem szczęśliwa; jestem inna niż wszystkie kobiety... czegoś mi w życiu brakuje... Nikomu się z tym nie zwierzam, bo i pocóż? Ale tak jest. Chciałabym panu tyle powiedzieć... Jutro o 6-tej męża mego nie będzie... niech pan przyjdzie do nas o tej porze...

Rotmistrz zdawał się odmawiać, a tymczasem głosik stawał się coraz bardziej proszący. Właśnie stanęli przed bramą, a pani X patrząc tkliwie na swego towarzysza szeptała dalej:

— Rotmistrzu, rotmistrzu!... mistrzu!

— — — — — — — — — — — — — —

Oczywiście nie poszedłem na górę.

T. Stach.

III. Duch czasu.

Od dłuższego już czasu w domu państwa Felicjanostwa panowała ciężka atmosfera. Wszyscy czuli to dobrze, że zanosi się na ciężką awanturę.

Wreszcie dnia pewnego padł pierwszy grom znienacka — a dalej już poczęły bić następne, wśród ulewy łez pani Felicjanowej i panny Moli.

Oto, gdy panie coś z cicha mówiły o cenach mąki, czy też kaszy, pan Felicjan zerwał się od stołu, jak oparzony, chwycił za talerz z zupą i rzucił nim o ziemię.

— Mój Boże! takiego talerza i za tysiąc marek teraz nie dostanie — jęknęła pani.

To dolało tylko oliwy do ognia. Pan Felicjan począł w pasji rzucać wszystkie talerze po kolei, wykrzykując przy każdym:

— Tysiąc! — dwa tysiące! trzy tysiące! — cztery tysiące!

Panna Mola spojrzała na matkę przerażonym wzrokiem, który mówił wyraźnie:

— Dostał obłąkania...

Pan Felicjan skończywszy z całą porcelaną, którą rozporządzał pod ręką, począł biegać szybkiemi krokami po pokoju, wykrzykując mocno jeszcze podniecony:

— Dosyć, dosyć!... Dosyć mam tego!... We dnie i w nocy — w sklepie, w tramwaju, w kawiarni, w teatrze, wreszcie i w domu — wciąż to samo od sześciu lat! Wciąż ta sama śpiewka: „Pończochy zdrożały — masło kosztuje tyle i tyle — słonina znów idzie w górę — ten paskuje na mięsie“!.. Do pioruna! Pluję na waszą mąkę i masło — gwiżdżę na pończochy i paskarzy!... Rozumiecie!... Nie chcę nic o tem więcej słyszeć!...

— Kiedy to są takie ludzkie rzeczy — próbowała tłomaczyć się pani Felicjanowa — dzisiaj wszyscy o tem mówią...

— Pogardzam wszystkimi, rozumiesz, gardzę całym światem, który zagrzebał się po uszy w sprawach włóknisto-mączno-świńsko-walutowych! To mówię ja, kupiec i przemysłowiec, obywatel królewskiego stołecznego miasta Krakowa.

Pan Felicjan biegał wciąż po pokoju, sapiąc i pomrukując. Nagle zatrzymał się, uderzył dłonią w czoło, brwi groźnie zsunięte powróciły na swoje miejsce i twarz przybrała wyraz niemal radosny.

Zbliżył się do córki i rzekł głosem spokojnym, ale stanowczym:

— Weź pióro i papier listowy i napisz zaraz serdeczny liścik do pana Dominika, którego przed rokiem nie chciałem za zięcia. Daj mu do zrozumienia w sposób sprytny, że już z mojej strony nie będzie żadnych przeszkód do oddania mu twojej ręki. Możesz nawet zaznaczyć, że wreszcie zrozumiałem, iż poeci są również potrzebni na świecie, jak rzeźnicy, aptekarze, fabrykanci, kupcy i inni — zresztą pisz co chcesz — chcę go tutaj widzieć jeszcze dzisiaj wieczorem.

Panna Mola dalej zasłaniała zapłakane oczy chusteczką.

— Cóż? nie wierzysz swemu szczęściu? — pytał pan Felicjan. — Daję ci na to słowo, że mówię zupełnie serjo — chcę mieć w rodzinie człowieka, z którym będę mógł choć czasem porozmawiać.

— Tak, ale ja już go nie chcę — rzekła szlochając panna Mola?

— Co?! — oburzył się Pan Felicjan.

— Ja chcę paskarza...

— No, dosyć już tego. Teraz ja zadecyduję o tem.

Pan Felicjan spojrzał na zegarek.

— Za pół godziny przyniesiesz mi gotowy list do pana Dominika — ja sam go wyślę.

Stało się jak życzył sobie pan domu.

Wieczorem cała rodzina oczekiwała przybycia pana Dominika.

Dzwonek w przedpokoju oznajmił przybycie oczekiwanego gościa.

Po chwili do salonu wszedł pan Dominik, ale jakże inaczej wyglądał jak ów z przed roku.

Ubrany był, rzec można, wykwintnie. Zwichrzone długie włosy zastąpiło gładkie, staranne uczesanie. Twarz wygolona i wypudrowana. Słowem, zamiast źle ubranego, nieśmiałego poety, stał teraz pewny siebie, dobrze odżywiony elegant.

— Cóż u pana słychać — zapytał pan Felicjan ściskając serdecznie dłoń gościa.

— Ach, dziękuję — chwała Bogu, nie źle mi się powodzi.

— A dużo pan pisze?

— O, tylko w wolnych od zajęć chwilach — wziąłem bowiem przedstawicielstwo toruńskich pierników, co wprawdzie zajmuje mi to dużo czasu, ale zato przynosi niezłe zyski — odpowiedział ze swadą pan Dominik.

Paniom rozpromieniły się oblicza i obie równocześnie poczęły coś mile szczebiotać.

Pan Felicjan wybiegł z salonu, wpadł do swego gabinetu i jął palić wszystkie rachunki, faktury i całą korespodencję handlową. Opróżniwszy w ten sposób biurko, zasiadł za niem i rozpoczął pisanie — pierwszego sonetu.

Stan. Krzesanica

CENY OGŁOSZEN: i wiersz milimetr. jednoszpalt. 40. M. — 1 wiersz milimetr. długości 25 mm w tekście 60 M

Odbito w drukarni „Prawdy". Kraków ul. Stolarska 6 Red. odp. i wydawca **Władysław Babuchowski.**

Druk ukończono 20-go lutego 1923 r.